Nr. 22. Listopad. 1862.



DWUTYGODNIK LITERACKI.

Wychodzi w Krakowie w połowie i na końcu każdego miesiąca w objętości najmniéj 2ch arkuszy—do których raz w miesiąc dodają się tablice z krojami, wzorkami i deseniami. Prenumerata w miejscu kwartalnie 1 zł. 50 cen. w. a., półrocznie 3 zła.— rocznie 6 zła.— Dla prowincyi z przesyłką pocztową: kwartalnie 2 zła.— półrocznie 4 zła.— rocznie 8 zła.—W królestwie pruskiem z przesełką pocztową: kwartalnie 1 Tal.,—półrocznie 2 Tal.,—rocznie 4 Talary.— Prenumerować można w **Redakcyi** w Krakowie przy ulicy Szërokiej pod L. 486 Isze piętro — w **Ekspedycyi** dziennika **„Czas"** i w księgarni **Grzybowskiego.**— Miejscowi odbierać mogą **Wieniec** w Ekspedycyi „Czasu."— **Listy niefrankowane nie przyjmują się.**

Pierwsza emancypatka
w Rosyi.

Kobiety wszystkie aż do czasów Piotra I, trzymane były w uległości i niewoli azyatyckiej. Mężowie mieli nad niemi władzę nieograniczoną, bili je i lekceważyli, nie oburzając tem nikogo; nietylko przez grubość obyczajów, ale i dlatego, że prawo karało jako zbrodnię, każde nieposłuszeństwo ze strony kobiety. Nie należały nigdy do towarzystwa mężczyzn, ani z nimi do stołu zasiadały, chyba w ściśle familijnem gronie, w cerkwiach nawet przedzielała je krata od nich. Z domu nie wychodziły bez zasłon na twarzy, mianowicie z klas wyższych, a ubiór bogatszych choć był z ciężkich jedwabnych i złotem tkanych materyj, krój szat jednak taki, aby kształtów ciała nie odznaczał ale je raczej osłaniał. Początek azyatycki z jakiego powstała i rozrosła się ludność moskiewska, przechował się w jej obyczajach i życiu.

Piotr Iszy obejrzawszy kraje europejskie, postanowił państwo swoje uczynić im podobnem, i to nie przez wychowanie nowych pokoleń, ale od razu przebrać i przeinaczyć wszystko, jak na balu maskowym. Nie chcącym należeć do tej doraźnej maskarady, kazał ścinać głowy, zabijać knutami, a mniej upornych chłostać pałkami. Dość, że przebrał Moskwę w szaty cywilizacyi, których nie zdjęła do dziś dnia. Wydał on ukaz, aby kniazie i kniechinie, bojarowe i bojarynie, wyglądali jak markizy francuzkie i grafy niemieckie.

Bojarowie z żalem spojrzeli po swoich gęstych brodach i długich jedwabnych sukniach, z któremi się rozstać mieli, i nie kwapili się na porzucenie jednych i drugich. Wnet więc car ustanowił urzędników, surowo czuwających nad wypełnieniem jego rozkazu; systematycznych oponentów nie rzadko karano śmiercią, biernie nieposłusznych chwytali gdzie się jeno ukazał, golili im brody, obcinali suknie, i tak zoperowanych po raz pierwszy bez żadnej innej kary puszczano do domu.— Powtórne nieposłuszeństwo karano chłostą a w miarę uporu pomnażano liczbę plag, tak, że w końcu najtwardszego konserwatystę przełamano.

Kobiety z swej strony wzdrygnęły się na te nowatorstwa, zasłon od czoła odpiąć nie chciały, i ani słyszeć o zaprosinach na uczty i bale. Ubrani kuso i utrefieni bojarowie, przechadzali się sami po rzęsisto oświetlonych balowych salach, przysłuchując się wygrywającej nadaremnie muzyce. Wydał zatem car ukaz, powołujący kobiety na bale dworskie czterech pierwszych klas. „W regu-

laminie balowym jest przepis, jak kobieta ma się znaleźć w obec mężczyzny, przed tańcem, w tańcu i po tańcu. Jeżeli która nie przybyła na bal bez bardzo ważnych do tego powodów, dostawała rózgami; jeżeli która nie podała do pocałowania ręki kawalerowi z którym tańczyła, dostawała rózgami. — Wyzwoleniec Tatar Kutajsow kamerdyner Piotra Igo, późniejszy graf Kutajsow, był nieubłaganym cenzorem i egzekutorem regulaminu."

Bojarynie i bojarowny dygały, uśmiechały się i pląsały z początku ze łzami w oczach bojaźni i oburzenia, lecz dalej a dalej, ten przymus stawał się coraz mniej przykrym dla nich, aż w końcu rozszalały jak starożytne bachantki. Nie poszło to jednak tak gładko carowi od razu; znalazły się silne oponentki popierane przez popów. Między niemi była żona Piotra caryca Eudoxya, nad którą jak się zdaje, Kutajsow nie miał prawa rózgi, a mąż policzkowaniem a nawet i laską uporu jej przełamać nie zdołał. Zniecierpliwiony wreszcie nieposłuszeństwem żony, kazał ją oblec w czarny habit i na zawsze zamknąć w Monasterze.

W czasie wojen z Karolem XII królem szwedzkim, była już Eudoxya zamkniętą u Czernic, a Piotr choć nierozwiedziony, uważał siebie za bezżennego, i w tym to czasie upodobał sobie młodą kobietę, znaną później w dziejach moskiewskich, pod imieniem Katarzyny Iszej. Historya jej taka: Marta córka włościanina litewskiego, zaledwie podrosła, dostała się na służbę do pastora luterskiego w okolicach Rygi, gdzie przebyła lat kilka przeszedłszy z katoliczki na protestantkę. Później przyjęła służbę w Inflantach w powiecie wendeńskim, i tu poszła za szwedzkiego żołnierza w miasteczku Marienburgu. Było to 1702 roku. Wkrótce po Marty weselu, zamek Marienburgski został wzięty przez Moskali, miasteczko na łup wydane, ludność wymordowana lub zabrana w niewolę. — Martę uprowadzaną przez dwu żołnierzy, spostrzegł komenderujący jenerał Szeremetiew i odebrał z ich rąk. W dwa dni potem jenerał Menżykow wyprosił ją dla siebie i oddał jej obsługiwanie stołu. Car Piotr będąc w kilka dni potem u Menżykowa na obiedzie, spoglądał z zajęciem na młodą piękną Martę, która obsługiwała gości z wielką zręcznością; nie przewidywał zapewne, że to chwilowe upodobanie rozrośnie się w jedyne prawdziwe przywiązanie, jakiego w życiu doświadczał.

Marta została towarzyszką życia Piotra, przeszła na schizmę i przybrała imie Katarzyny. Ci co ją znali, opisują ją rosłą, smukłą, brunetę z błyszczącemi oczyma, płcią bardzo białą, żywych i zręcznych ruchów. Zawsze wesoła, w obejściu swobodna i grzeczna. Ubierała się podług mody francuzkiej, w aksamity, jedwabie, pióra i fryzury. Pisać ani czytać nie umiała, mówiła po polsku i po niemiecku, później i po moskiewsku; nauczyła się pięknie tańczyć, z temi umiejętnościami wśród ówczesnych Moskiewek, imponowała swoją edukacyą. Obok kobiet posiadających przymioty i wady wspólne wszystkim niewolnicom azyatyckim, litewska włościanka z chrześciańskiemi obyczajami, dziwnie uroczą i powabną zdawała się carowi, i pokochał ją całą miłością, na jakie dzikie serce jego zdobyć się mogło.

Pierwsze lata przemieszkiwała Katarzyna na uboczu, aż dopiero kiedy car wybierał się na wojnę turecką, ogłosił ją urzędownie żoną swoją. Towarzyszyła mu na tej wyprawie i zachwycała go hartem i wytrwałością w trudach i niewygodach. Rzadko jechała w powozie, najczęściej była na koniu i to na czele wojska.

Wojna wzięła obrót najniepomyślniejszy dla Moskali, car otoczony ze wszech stron, uważał wojsko i siebie za straconego. Wtenczas Katarzyna zebrała swoje klejnoty i pieniądze, do których dołożyli i jenerałowie jakie tylko mieli—i te przesłała wielkiemu wezyrowi. Turek dał się przekupić i przystał na podane przez nią warunki, doradzone jej przez jenerałów. Kiedy tak rzeczy stały, przedłożyła je Piotrowi,— pokój nastąpił a car i armia została uratowaną.

Za powrotem swoim postanowił odbyć w stolicy solenne zaślubienie swoje z Katarzyną. Żona Piotra Eudoxya żyła, rozwodu nie było między nimi; z tego powodu archimandryta zaczął robić trudności. Piotr za całą odpowiedź obił go kijem, a tak przekonany, zaślubił go z Katarzyną.

Dla podniesienia godności carowej potrzeba było, aby miała familią; — sfabrykowano jej więc brata, sprowadziwszy z Litwy jakieś indywiduum nazwane Skowroński, któremu oddawano honory jako członkowi carskiej rodziny.

Do ceremonij zaślubin carskich należała procesya, w której car miał przy boku swoim dwóch najznakomitszych bojarów państwa. Na pierwszego przeznaczył Skowrońskiego, na drugiego posłał wezwać kniazia Romodanowskiego. Kiedy temu ostatniemu oznajmił pierwszy minister, iż będzie miał zaszczyt iść obok cara i podzielać ten honor z bratem carowej,— ten zapytał:

— Po której stronie przeznacza mi car miejsce?

— Samo się przez się rozumie, iż szwagier cara zajmie miejsce pierwsze po prawej hosudara, odrzekł minister.

— A zatem ja nie pójdę— odpowiedział kniaź stanowczo.

Na to car kazał mu powiedzieć: pójdziesz, albo cię powiesić każę."

— Powiedz carowi— odparł kniaź z niewolniczą pychą — że go błagam, aby rozkazał rozpocząć egzekucyę od mego piętnasto-letniego jedynego syna, boby być mogło, iż dziecko po śmierci mojej, ze strachu przyjęłoby miejsce po lewicy carskiej. Ja zaś sam o sobie jestem pewien, że ani przed, ani po straceniu dziecka mego, nie uczynię tej chańby krwi Romodanowskich.

Car w tej niesłychanéj hardości dosłyszał głos całej wyższej szlachty naganiającej małżeństwo jego i puścił ją płazem, niechcąc wywołać wyraźniejszego nieukontentowania. Zniechęciło go to do Moskwy siedliska wyższej szlachty, i odtąd stale zamieszkał w Petersburgu.

Na cześć swéj żony ustanowił order św. Katarzyny, i ją najpierwszą nim przyozdobił.

W następnych latach włożył koronę na jej czoło i ogłosił ją imperatorową. Tak obsypywana dostojeństwami w nagrodę swego emancypacyjnego usposobienia, zdaje się, iż Katarzyna przestępowała czasami granice zakreślone wszechwładną wolą cara, a jak dziko została ukaraną za swoję nierozwagę, zaraz opowiem.

W gronie młodych dworaków był jeden nazwiskiem Moens de la Croix, car zaczął podejrzywać żonę o zbytnią przychylność dla niego i w uniesieniu zazdrości, lekkie pozory uznał za dowód niewierności. W pierwszej zapalczywości postanowił kazać ściąć żonę, młodego dworaka i siostrę jego, która miała protegować podejrzywaną parę. Ochłonąwszy z gniewu, uczuł całą moc przywiązania swego do Katarzyny i żal mu było oddać ją na śmierć; wolał uznać ją niewinną. Moensa zaś i siostrę jego kazał oskarżyć o malwersacye, jakich się dopuścić mieli przy wydatkach na dwór carowej, brata skazał na śmierć, siostrę na knuty i wygnanie na Sybir. Głowę ściętego kazał zatknąć na słupie i zabrawszy żonę do pojazdu, tamtędy wieźć na spacer. Katarzyna znalazła tyle siły, iż potrafiła utaić boleść i przerażenie swoje, co ją zupełnie uniewinniło w przekonaniu męża.

Okrucieństwa któremi naznaczone jest panowanie i życie prywatne Piotra, nazywanego wielkim przez Moskali i schlebiających im historyków, oswoiły z niemi Katarzynę tak dalece, że nie wahała się nastawać na życie pierworodnego syna cara, aby dla swego tron zapewnić. Był nim Aleksy, jak wiadomo bez żadnego powodu wskazany przez ojca na śmierć, przecierpiawszy kilkakrotne męczarnie tortur poprzednio. A nieszczęśliwa matka jego Eudoxya, wepchnięta przemocą do monasteru, zrzuciła zczasem nieznośny dla siebie habit i przywdziała świeckie szaty.

Dowiedział się car o tem; przypuścił, iż może zamyśla o ucieczce, że znalazła poparcie u kleru i wśród szlachty, że ją przeprawią za granicę — i tam ogłosi się jako prawa żona, zaprzeczając ważności ślubu jego z Katarzyną. Nakazał surowe śledztwo, kto jej sukien dostarczał? Pokazało się, że jenerał Gleboff. Eudoxyę za niewinną zmianę sukien chłostano w dziki sposób i strzeżono odtąd w więzieniu monasteru, którego progu nie było jej przestąpić wolno. Gleboff zaś został skazany na pal, gdzie do umierającego długiem konaniem przyszedł sam car, żądając od niego wyznania: iż był kochankiem Eudoxyi. Męczennik ze wzgardą plunął w twarz tyrana i wyrzucił mu wszystkie jego zbrodnie, wzywając na niego pomsty nieba. Słowa te miały wstrząsnąć sumieniem Piotra; stał się ponurym odtąd, zatracał wyraźnie dawne przywiązanie do Katarzyny, i w tym to czasie posądził ją o miłość z Moensem. Być może, że pamięć niewinnie zamordowanego syna stawała między nim a żoną; dość, że Katarzyna zaczęła się lękać o życie swoje. Na jej nieszczęście umarł syn, dla którego świetniejszej przyszłości stał się car dzieciobójcą.

Wtenczas już wyraźnie dzika boleść jego szukała ulgi w nienawiści do Katarzyny, ale nim spadła na jej głowę, umarł tchnięty paraliżem. Kroniki tajemnych zbrodni pałacowych w Rosyi opowiadają, że miał być otrutym przez Katarzynę i kniazia Menżykowa największego ulubieńca swego, tego samego, u którego ją poznał młodą chłopką litewską.

Menżykowa obsypywał Piotr przez czas panowania swego bogactwy i dostojeństwy, nadał mu najwyższą godność feldmarszałka, przebaczał tam, gdzie inni swoje przewinienia opłacali życiem lub wygnaniem na Sybir; lecz mimo tego, w gniewie policzkował swego ulubieńca, lub bił go żelaznym kijem, który zwykle nosił w ręku, dla wymierzania doraźnej sprawiedliwości.

Menżykow i Katarzyna jako najbliżsi sercu cara, czuwali przy łożu konającego i tak rzecz ułożyli, że razem z wiadomością o śmierci jego zostało ogłoszonem wstąpienie Katarzyny na tron, opierając swoje prawo na woli zmarłego, który nietylko że jej przekazał rządy konającemi usty, ale wkładając na jej głowę koronę imperatorowej, tem samem przeznaczył jej następstwo po sobie.

Daleko więc od razu poszła emancypacya kobiet w Rosyi w osobie Katarzyny; niewiasta, która według pojęć tego ludu, stworzoną była jedynie na niewolnicę, a cnotą jej najwyższą: uległość i posłuszeństwo; stanęła po nad wszystkiemi jako pani wszechładna, i biada temu coby jej rozkazu nie posłuchał!

Menżykow ułatwił jej drogę do tronu jeszcze przed skonem Piotra, ujmując obietnicami i pieniądzmi jenerałów i najnieprzychylniejszych dla

niej bojarów, a miał czem płacić, bo opanował skarb. Przytem jako feldmarszałek, objął pod swoje rozkazy konsystujące w pobliżu wojsko.

Skoro car zamknął oczy, znaleźli się liczni świadkowie, którzy rozgłaszali, jako słyszeli z ust umierającego, aby Katarzyna rządy po nim objęła. A świadectwa te były bardzo potrzebne, gdyż syn po zamordowanym Aleksym imieniem Piotr, miał za sobą silne stronnictwo.

Tymczasem Katarzyna nie zaniedbała niczego, dla zjednania sobie przychylności mas, którym się ukazywała w grubej żałobie, jaką nosiły wdowy wyższych klas krojem narodowym. Płacząca i lamentująca nad osieroceniem swojem, przyrzekała być matką narodu. Wydała ukaz zmniejszający podatki, powołujący wygnańców z Sybiru, a szubienice stojące po ulicach uprzątnąć kazała. Wszystkie ulepszenia pod względem cywilizacyi jakie Piotr zaprowadził utrzymała, i niektóre z tych co miał w planie urzeczywistniła: jak założenie akademii umiejętności, i co nie małą rzeczą było dla szlachty, order Aleksandra Newskiego ustanowiony przez Piotra, rozdawać zaczęła. Takiem postępowaniem pozyskała popularność i na mocnych podwalinach oparła panowanie swoje. W rzeczywistości jednak rządził Menżykow w jej imieniu; ościenne mocarstwa z nim jedynie traktowały, sprawy wewnętrzne szły według jego woli i kaprysu, rozdzielał łaski lub karał, jak każdy niczem nieograniczony despota. Jednem słowem on panował pod imieniem Katarzyny.

Zostawszy wdową miała lat trzydzieści sześć; lubiła się jeszcze podobać, co wielce Menżykowa niepokoiło, gdyż się lękał, aby który z jej ulubieńców nie wyparł go z zajętego stanowiska. — I pewnieby to było nastąpiło, gdyby wkrótce nie była została przyciśnięta ciężką chorobą, która sprowadziła jej śmierć, w dwa lata po wstąpieniu na tron.

Jedni utrzymywali, iż umarła na raka — inni, ze na suchoty, wszyscy zaś co żyli w jej blizkości zgadzali się na to, iż w rok od wstąpienia na tron, z sił zaczęła opadać i widocznie życie w niej gasło. Rozpatrzywszy się we wszystkich okolicznościach, leżało w Menżykowa interesie sprzątnięcie jej ze świata— najpewniej drugą część tej samej pigułki spożyła, której pierwszą połknął Piotr.

Po niej nastąpił Piotr II syn Aleksego, dziecko jeszcze; temu Menżykow przeznaczył za żonę córkę swoję i bez przeszkody żadnej, bez obawy rywala, zamierzył rządzić w imieniu jego.

Wprawdzie plan ten niezupełnie się udał; Menżykow wygnany został na Sybir. Lecz że dalsza biografia jego nie spływa się już z życiem Katarzyny, kończymy więc na tej uwadze: że miał powody, iż przekładał Piotra IIgo niżeli ją na tronie.

Jedna z córek Katarzyny Iszej alias Skowrońskiej Anna, wydaną została za księcia Holst-in-Gottorp; syn jej wstąpił na tron pod imieniem Piotra IIIgo, przezwał się niewiadomo dlaczego Romanow. Panujący obecnie Aleksander IIgi jest prawnukiem jego.

Katarzynę nazwaliśmy pierwszą emancypatką w Rosyi, bo rzeczywiście rozpoczęła ona ten zastęp niewieści, co odrzuciwszy z twarzy zasłony wschodnie, wdarł się od razu na stanowisko mężczyzn, jak bajeczne amazonki. W ciągu lat siedmdziesięciu, cztery kobiety zasiadały na tronie, a za czasów ich panowania sformowała się niewieścia dyplomacya, jaka istnieje po dziś dzień, a znany francuzki pisarz Custine, który tak wybornie skreśla, iż jako dodatek do pierwszej rosyjskiej emancypatki, powtórzymy za nim dosłownie: „Od czasów Piotra Igo, została Europa zalana emisaryuszami moskiewskiemi obojej płci, a kobiety mianowicie silnie wpłynęły na propagowanie idei, na której się opiera polityka Rosyi. Te aspirantki do tytułu kobiet statystek, mają zmysł polityczny, a że niektóre z nich, łączą z tym przymiotem obyczaje, które przypominają wiek XVIII, są jakoby podróżujące markizy, napełniające Europę swemi zepsutemi obyczajami, ale które pod cynicznem swojem postępowaniem ukrywają ducha rządu i głębokość postrzegania. Dzięki zmysłowi intryg tych Aspazyj północy; niemaż stolicy, gdzieby nie było kilku ambasadorów; jeden oficyalny, akredytowany, okryty wszystkiemi oznakami swego urzędu, reszta tajemna, nieuznana, nieodpowiedzialna, w powłóczystych sukniach, czepkach na głowie, wypełniająca podwójną rolę ambasadorów niezależnych, szpiegując zarazem ambasadora oficyalnego.“

„Rosya ma zorganizowaną zupełnie dyplomacyę niewieścią, a Europa nie jest dosyć czujną na ten szczególniejszy rodzaj wpływu. Ze swoim zastępem agentów, mieszkańców, amazonek politycznych, z umysłem subtelnym i męzkim, z wysłowieniem niewieściem, duchem pełnym chytrości, dwór rosyjski zbiera nowości, odbiera raporta, ostrzeżenia.—A gdyby to wszystko było znanem, wyjaśniłoby wiele tajemnic, podałoby klucz do wielu sprzeczności, i odsłoniłoby wiele małostek.“

B. M.

BIAŁA FIGURA

przez

Krystynę L.

(Ciąg dalszy.)

Panna Pelagia spotykała już w życiu podobne przykłady niepraktycznego wychowania, chcąc więc Halci oszczędzić zawodu i trudów życia, musiała iść prawie na przebój z pp. Zdzisławami, którzy niezmiernie to dziewczę polubili—stanął wreszcie układ polubowny. Halcia przywdziała suknie skromnego kroju i materyi, do stołu także siadać poczęła. Co się zaś tyczy nauk, nie odstąpiła panna Pelagia od swego zamiaru, aby wszelkich przedmiotów w języku polskim uczyła się wraz z Olesią. Języków obcych ani muzyki nie uznawała wcale za stósowne żeby jej udzielać, jako zbytkownych umiejętności w życiu i przy pracy powszedniej, jakie ją czekały.

Halci dnie płynęły swobodnie i wesoło, przywiązała się całem sercem do panny Pelagii i pani Zdzisławowej; wspomnienie tylko o Jasiu mgliło jasną pogodę jej życia. W niedzielę po południu posyłała ją zawsze panna Pelagia w odwiedziny do ojca i najbliższych krewnych, czuwając, aby nie zaniedbała żadnego rodzinnego stosunku a nawet i znajomych.— Tam więc widywała się z Jasiem, ale krótko i to nie zawsze.

Kiedy Halci takie jasne przyświecało słońce, biednemu Jasiowi ćmiło się coraz bardziej — już go ani bydełko, ani pola, ani błękitne nie cieszyło niebo. Niewymowny smutek ogarnął serce jego. Zarzucił robotę, zwątpił o sobie. Pozostawiony elementarz przez Halcię umiał już na pamięć, ale nic więcej— on pragnął szerszego pola do nauk. Kończył lat 13cie, rozbudziły się w nim chęci i pragnienia innego życia; poznawał, że nie ucząc się, nie zdoła nigdy ziścić swoich marzeń. Gdy raz w domu wspomniał o szkole, zakrzyczano go i kazano ciężko pracować. — Biedził się nieboże, dnie całe siedząc nieruchomie, lub się modląc gorąco do Matki Najświętszej. Nic mu już w życiu wystarczyć nie mogło; zjawienie się czasem Halci ożywiało go na chwilę, pogrążając później w jeszcze większy smutek. Ten stan jego moralny tak silny wpływ wywarł na jego fizyczność, że stracił sen, nic jeść nie mógł, pobladł, aż nareszcie zapadł w ciężką gorączkę.

Od kilku dni leżąc w malignie, widział jak figurki jego skakały koło niego porozrzucane — jacyś obcy ludzie zabierali je; on wołał, aby mu nie zabierali skarbów jego najdroższych—to znów pokazała mu się uśmiechnięta Halcia, podając mu rękę i wołając do siebie. Zerwał się gwałtownie, chcąc biedz do niej—a w tem obudził się na ręku ojca, który uchwyciwszy go w pół, położył na posłaniu wysilonego. „Bóg z tobą biedne dziecko, co też ty naplótłeś w gorączce“ rzekł z rozrzewnieniem i dał się napić leków pozostawionych przez doktora, który zalecił największy spokój choremu.

W kilkanaście dni Jaś począł przychodzić do zdrowia, ale był zmęczony i wysilony cierpieniem tak fizycznem jak moralnem, które go poprzedziło i było powodem choroby. Pierwszy to raz od niepamiętnych czasów przez 14 dni nie wyganiał w lecie bydła w pole, nie modlił się pod Białą Figurą. Zbliżając się więc do niej, jakiś go niepokój ogarnął— nie mógł myśli zebrać, serce mu mocno bić poczęło; nawet modlitwa nie uspokoiła go — nie śmiał zajrzeć i powitać swoich prac dawniej tak ulubionych. Wreszcie odjął kamień,—i jakież było jego zdziwienie, gdy zobaczył wszystko przerzucone inaczej, a począwszy rozkładać, spostrzegł, że mu brakuje kilka figurek, które z największą starannością odrobił, i które chwaliła mu najbardziej ukochana Halcia. — Żal mu serce ścisnął, rozpłakał się rzewnie i upadł na kolana, a tłumiona oddawna boleść, tęsknota, uczucia rwiące się do świata, wybuchnęły naraz gwałtownie, — osłabione ciało nie mogło wstrzymać tego wylania żalu bolejącej duszy. — Kiedy tak klęcząc blady, z płynącemi obficie łzami, z wzniesionemi rękami modlił się w głos gorąco do Matki Najświętszej, uczuł się po ramieniu lekko dotkniętym obróciwszy się zobaczył za sobą księdza proboszcza, którego mało nawet znał, a w tej chwili zdawało mu się, że anioła wybawiciela Bóg mu zsyła.

Na kilka dni przed tem spotkaniem, proboszcz miejscowy szanowny i poważny, przytem czerstwy starzec, używając przechadzki, udał się w stronę Białej Figury—a zmówiwszy pacierz, popatrzył na nią uważnie; bo mu się zdawało, że kamienie w postumencie się usunęły i figura się nachyliła; obchodząc ją w około, natrafił na otwór, płazkim kamieniem przyłożony— odsunął go i zdumiał się na widok przedmiotów, jakie mu się tam przedstawiły. Wykładał z otworu nieforemne figurki i całe grupy osób, z drzewa, kamienia, to z gliny lepione— przedstawiła mu się historya cała samorodnego talentu od nieforemnych klocków, aż do świętych, których poznał wizerunki wzięte z kościoła. Odgadł on i przeczuł w nich próby pracy i wysilenia jakiegoś prostego naturalisty, obejrzał każdy kawałek z zajęciem wielkiem—sam zaś wykształcony znawca sztuki, umiał prace ocenić, ciesząc się niesłychanie z swego odkrycia.

Wybrawszy zatem kilka przedmiotów, bo tam nawet i ornamenta architektoniczne znalazł, schował troskliwie do kieszeni— resztę zaś włożył napowrót do otworu i przykrył jak było kamieniem.

Wracając do domu, umyślił wyśledzić młodego artystę, i w tym celu kilka dni krążył koło Białej Figury— lecz Jaś wówczas był chory, a bydełko około domu dziewka tymczasem pasała — nie było więc kogo się zapytać; aż w końcu udało mu się spostrzedz chłopca w postawie tak zachwycajacej, iż nie mógł wątpić, że tylko dusza wzniesiona do Boga i ożywiona iskrą niebieską łaski Najwyższego, może się tak modlić. Jeżeli prace odkryte ucieszyły księdza proboszcza, to go modlitwa chłopca zbudowała. Z miłością też ojcowską w duszy, podszedłszy ku niemu, długo nań wzrok zatrzymał, nie mogąc w pamięci odszukać do kogoby on należał.

Jaś przekonawszy się, że to nie anioł ale ksiądz przed nim stoi, którego niekiedy w kościele widywał, struchlał, będąc nad wyraz nieśmiały a nawet dziki, bo nie widywał ani rozmawiać zdarzało mu się z obcymi. Całe lato pasał bydło, a w zimie w chacie pracował lub w oborach. Pokłoniwszy się do kolan księdzu proboszczowi, drżąc jak listek, stał blady z spuszczonemi oczyma. — Lecz proboszcz człowiek serdeczny, pochodzący sam z ludu, znał go i kochał całą duszą, pracując nad podniesieniem go moralnem z usilnością; dobrał więc zaraz słowa w swem sercu, które rozwiązały usta chłopięciu, i w kilku minutach rozmawiali z sobą swobodnie.

Proboszcz dowiedział się, że Jaś jest synem rodziców, których on ostro napominał zawsze, że nie posyłają ani do kościoła ani do szkoły swoich dzieci, mianowicie młodszego syna, i dlatego nie mógł go z razu poznać, dopiero za wymówionem nazwiskiem.

Rozmowa z Jasiem coraz więcej ujmowała księdza dla niego — coraz go ten chłopiec bardziej zdumiewał swojem głębokiem pojęciem religijnem, miłością a bojaźnią bożą — było coś dojrzałego w tym chłopcu; on czerpał wiedzę wprost od Boga, i wszystko według niego pojmował. Świat był mu obcym— znał tylko elementarz, a rzucane słowa Halci o cudownie pięknych rzeczach we dworze, otwierały mu nowe pojęcia o nim.

Ksiądz poznał, czego pragnie ta dusza gorąca i co dla niej potrzeba zalecając Jasiowi wytrwałość;— wlawszy w serce słowa pociechy i nadziei, opuścił zacny starzec chłopczynę uspokojonego,— ale może jeszcze więcej pragnącego zmiany życia; bo w rozmowie z księdzem dojrzały naraz marzenia kilkoletnie Jasia. Przeszłość stała mu się już niepodobną — uczuł, że do niej wrócić nie może— a przyszłość jak noc czarną widział przed sobą, na jej tle tylko jak maleńkie gwiazdki świeciły w dali słowa księdza proboszcza, nad któremi wracając do domu ciągle rozmyślał.

Proboszcz bywał bardzo często we dworze, naradzając się z państwem Zdzisławami o rzeczach tyczących się dobra gminy Dembowieckiej, jej potrzebach; również o zakładach dobroczynnych, które pod jego kierunkiem były wzorowo utrzymywane. Pani Zdzisławowa zwiedziała je często, mianowicie szpital i ochronę małych dzieci— zaś szkołę i szpichlerze gromadzkie pan Zdzisław. Panna Pelagia z wychowankami chodziła do pracowni, udzielając nauki robót prawie każdego dnia. W stanie też kwitnącym były przez rodziców państwa Zdzisławów zaprowadzone zakłady.

Państwo Zdzisławowie postanowili wystawić nowy kościół, gdyż ten co był, już groził upadkiem i chcieli też pozostawić po sobie i tę pamiątkę w swej majętności wzorowo urządzonej.

Kiedy nazajutrz po rozmowie z Jasiem zaszedł ksiądz proboszcz do dworu, gdzie odwiedziny jego były zawsze pożądane, bo wszyscy go szanowali i kochali; twarz poczciwego starca jaśniała niezwykłą radością, co zauważali domowi, zbiegłszy się na jego powitanie — on zaś za całą odpowiedź na badawcze słowa i spojrzenia, wydobywał z kieszeni roboty rzeźbione Jasia. Był tam święty Floryan koło małego domku z chorągiewką, św. Józef z dzieciątkiem na ręku i białą lilią i różne jeszcze postacie—ale najwięcej uderzyła wszystkich Biała Figura, najlepiej i najdokładniej odrobiona.

Oglądano i podziwiano trafność wykonania, aczkolwiek prostej roboty, obsypując zapytaniami proboszcza. Nadbiegająca Halcia zwróciła na siebie uwagę swym wykrzyknikiem na pół z płaczem: zkąd te kawałki wzięły się u księdza; czy je zabrał Jasiowi? Jakże on się tym zmartwi, on co je ukrywał tak starannie przez parę lat w otworach Białej Figury — jak się zaś dowiedzą rodzice, będą go też łajać w domu!“ I tak dziewczyna sama nie wiedząc opowiadała z załem tajemnice Jasia. Gdy ją jednak uspokoiły zapewnienia księdza proboszcza, że z Jasiem sam mówił, i Jaś wie o tym, że mu to zabrał; widząc, że wszystko już odkryte, dopieroż ta dziewczynka dawniej w obec państwa nieśmiała, stała się wymowną i zaczęła opowiadać, jaki to Jaś w domu prześladowany i nielubiony, ciężko pracować musi— a jaki on dobry, jak ją zawsze uczył, aby Matki Boskiej słuchała, nie smucąc jej nigdy złemi postępkami. Ksiądz proboszcz słuchał ją pilnie, bo się z jej słów

jeszcze przekonywał więcej o szlachetnym charakterze Jasia; on mu bowiem o domu rodzicielskim słowa złego nie wspomniał, tylko o tęsknocie swojej i chęci do nauk mówił.

Gdy dziewczę skończyło swoje pełne zajęcia opowiadanie, proboszcz zaczął znów z swej strony opisywać, jakim wypadkiem odkrył te wyroby i odszukał pracownika, i o jego usposobieniu moralnem.

Państwo Zdzisławowie tak byli zachwyceni temi opowiadaniami, tak uradowani w duszy, że mogą przyjść w pomoc tyle obiecującemu chłopczynie— że prawie równocześnie zawołali, iż go zaraz wezmą i kształcić będą na rzeźbiarza, skoro taki objawia się w nim talent, a serce obdarzone tak niezwykłemi przymiotami.

Panna Pelagia dopiero wtenczas przypomniała sobie życzenia konającej matki Halci, domyślając się zaraz, że to zapewne ona o tym Jasiu z taką miłością macieżyńską mówiła; wyrzucała sobie nawet, że o nim zupełnie przepomniała— ale widać Bóg nie zapomniał, skoro takim dziwnym zbiegiem okoliczności, znów te dzieci pod jeden dach sprowadza. Oglądając roboty pilnie Jasia, rysowała się jej w dali przyszłość Halci i stósowne do niej wychowanie w myśli układala.

Pan Zdzisław rozmawiał długo jeszcze o Jasiu z księdzem proboszczem nad trudnościami kształcenia go z powodu, że jemu tenże powiedział, iż zaledwie czytać umiał; obecny rozmowie pan Felicyan nauczyciel Karolka, człowiek zacny i najlepszych chęci, zwłaszcza przychylny ludowi, mając nawet zamiar w przyszłości pozostania księdzem, oznajmił życzenie zajęcia się chłopcem i sposobienia go do szkół, skoro tamże musi być oddanym dla nauk potrzebnych do kształcenia się na artystę.

Pan Zdzisław nie lubiący nic odkładać na później, zaproponował, aby we trzech udali się zaraz do Błażeja, prosząc o oddanie mu w opiekę ich syna.

Słońce prawie zachodziło, u Błażejów krzątano się w podwórku, kiedy któreś zawołało, że pan z księdzem ku nim się zbliżają.

Nie było to nadzwyczajnem zdarzeniem, bo pan często, zwłaszcza w chorobie odwiedzał włościan swoich. Wyszedł gospodarz przed nich, Błażejowa zarzuciwszy nową chustkę na nieświeżą odzież, wyszła za mężem powitać panów, chyląc się do ich kolan a z lekka pokłoniła się panu Felicyanowi.

Pozdrowiwszy rodziców, szukał pan Zdzisław oczyma Jasia, i nietrudno było mu go odgadnąć w bladym chłopczynie, mielącym zboże w ciężkich żarnach i ocierającym kroplisty pot z czoła. Zobaczywszy zaś panów, przyszedł się pokłonić i stanął na uboczu.

Pomówiwszy o gospodarstwie, spodziewanych plonach, proboszcz oznajmił rodzicom życzenie pana, wzięcia Jasia na swoję porękę, pokazując im zarazem wyroby Jasia, dowodzące o jego uzdolnieniu rzeźbiarskiem, któregoby było szkoda zaniedbać przy wiejskiej pracy.

Błażejowie spojrzeli na siebie, o niczem podobnem nie wiedząc, tak byli naraz odurzeni i zdziwieni podwójnie, że w pierwszej chwili nic nie mogli odpowiadać. Ojciec opamiętał się pierwszy i upadł radośnie do nóg pana Zdzisława i proboszcza, dziękując ze łzami za dobrodziejstwa dla syna i oddając im go w opiekę. Matka zrozumiawszy o co chodzi, oparła się temu, nie przez miłość macieżyńską i niemożność rozłączenia się z synem, ale przez złość i zazdrość, że to szczęście nie jej ukochanego Grzesia spotyka; zaczęła wygadywać, że Jasiek się bez tych dobrodziejstw obejdzie, że nie będzie kto miał pasać bydła, jak on lalki i zabawki strugać będzie, że w domu ma robotę.

Jaś stał nieruchomie jeszcze bledszy z sercem bijącem, w niepewności, jak się ta walka ukończy. Grześ z zawiścią patrzał się na niego i na wszystkich obecnych.

Pan Zdzisław z dobrocią i cierpliwością tłumaczył, że chłopca chce wziąść dla ich wspólnego dobra, że mogą w przyszłości mieć z niego wielką pociechę; mówił z uczuciem do serca, bo Jaś go pociągał niewymownie do siebie.

Ale zacięta kobieta nie słuchając słów jego, żymała się ciągle. Błażej chcąc ułatwić sprawę dodał, że za pastucha weźmie ubogą sierotę, której rodzice pomarli i nie ma się gdzie podzieć— i tem dorzucił siarki do ognia, bo żona zwróciła się do niego i zaczęła wymyślać dopiero, jak ją najlepiej stać było; wymawiając w końcu, że pobłaża Jaśkowi a nie dba o Grzesia. Lubo Grześ sam kłamał słowom matki, bo kiedy Jaś w obtarganej płótniance ciężko pracował, Grześ w kamizeli i surducie gwizdał, siedząc na stole i zaledwie się ruszył na przyjście dostojnych gości.

Ksiądz proboszcz chcąc zakończyć tę niemiłą wielce sprawę, powiedział stanowczo: jak skoro dziedzic sobie tego życzy, ojciec pozwala i z dobrem jest syna, matka się nie ma czego przeciwić; pan Zdzisław też chcąc już uniknąć dalszych zajść z Błażejową, oświadczył: że skoro ojciec zezwala, on zabiera Jasia z sobą.

Błażej uścisnął jego kolana, dając do poznania, aby to niezwłocznie uczynił, przywoławszy chłopca, pobłogosławił go, przykazując, aby nowego ojca swego najprzód po Bogu słuchał i szanował, i posunął go ku matce, która zamiast prze-

żegnać, odepchnęła go, nakazując, aby się jej na oczy nie pokazywał.

Ksiądz proboszcz, upominał surowo Błażejową, żeby nie obrażała pana Boga, który jej zseła tak wielkie dobrodziejstwo, ale dziękowała za nie w pokorze — lecz ta głuchą będąc na słowa kapłana, zanosiła się od płaczu, złorzecząc mężowi i synowi. Błażej odprowadził kawał drogi odchodzących, błogosławiąc im i Bogu dziękując za opiekę nad biednym chłopcem, którego uciskiem w domu do głębi serca był dojęty.

Przechodząc około Białej Figury, zatrzymali się wszyscy, — tak bowiem byli znużeni i zasmuceni przykrą przeprawą z przewrotną niewiastą, że chcieli pokrzepić ducha krótką modlitwą.

Jaś żegnał swoje pastusze swobodne życie, żegnał pola, łąki, lasy, Figurę Białą, pod którą tyle chwil przedumał, pr.emodlił — wychodząc z podwórka, pogłaskał na pożegnanie bydełko swoje, które jakby poczuło, że je opuszcza na zawsze, pomrukiwało żałobliwie. Wreszcie poszedł za panem Zdzisławem tak odurzony i nieprzytomny, że nie mógł pojąć co się z nim stało; w przeciągu kilkunastu chwil, zmieniło się zupełnie jego położenie — miał wnijść w świat, którego dawniej tyle pragnął, a teraz się lękał prawie.

We dworze nigdy nie był. Państwa zaledwie parę razy widział zdala pod figurą modlących się lub w kościele, lecz do nich nigdy nie przemówił — szedł więc zwolna, i rozmyślając nad tem wszystkiem, a dziwna jakaś miłość pociągała go do pana Zdzisława, który zwolnił kroku aby z Jasiem pomówić — lecz ten był tak nieśmiały i zatrwożony, iż zaledwo mógł słowo wymówić. Pozostawił go więc pan Zdzisław własnemu rozmyślaniu; bo widział, że nateraz daremne byłoby usiłowanie zawiązania z nim rozmowy.

Pod samym domem napotkali w alei przechadzającą się panią Zdzisławową i pannę Pelagią z panienkami. Halcia zobaczywszy Jasia zapłoniła się od radości i pobiegła do niego; lecz Jaś był tak nieśmiałym z każdym niemal krokiem zbliżającym go do dworu, że zaledwie Halci słowa wesołe i jej widok dodał mu otuchy.

Pani Zdzisławowa i panna Pelagia ciekawie przypatrując się młodemu chłopcu, przemówiły doń serdecznych słów kilka na wstępie — lecz widząc go tak bardzo zakłopotanego, oddały w opiekę kredencerzowi poczciwemu staruszkowi, zalecając, aby miał o nim staranie.

Tak więc po dwóch blizko latach rozłączenia, pod jeden dach Halcię z Jasiem los połączył, i to prawie tak cudownym sposobem; że oboje nie śmieli się cieszyć ani wierzyć w swoje szczęście.

Jaś nie mógł zasnąć tej nocy; wszystkie myśli i uczucia były w nim wzburzone — ciężyły mu też słowa matki i jej gniew; postanowił przebłagać ją koniecznie, życie całe snuło mu się przed oczyma, i tak marząc, nad samem dopiero rankiem przymknął powieki i usnął głęboko.

Słońce już się wzbiło wysoko i roztoczyło swe ciepłe promienie. Jaś je czuł prawie, ale się nie mógł przebudzić, czekając głosu matki, który go zawsze wzywał do wstawania. Nie mogąc się jednak doczekać, przebudził się w końcu i mocno zdziwił, znalazłszy sio w białym, jasnym, cichym pokoiku, na wygodnem posłaniu. Narazie nie wiedział co się z nim działo — czy to sen się przedłuża, czy rzeczywistość tak go wita swobodnie.

Przypomniawszy sobie jednak wypadki dnia wczorajszego, począł się niepokoić, nie wiedząc co ma z sobą zrobić — nawykły od lat niepamiętnych po odmówionym pacierzu pognać bydło w pole biedził się biedny chłopiec, nareszcie na pomoc w myśli stanęła mu Halcia, która mu tyle nagadała o dobroci państwa, jak to jego roboty chwalili, i nim się chcą zająć gorliwie.

(C. d. n.)

ANIOŁ PAŃSKI.

Myśl Wiktora Hugo.

Czas modlić się dzieweczko! — Spojrzyj... świetne zorze
Na lazurowym widnieje przestworze;
— Dalekie gmachy niby dziwne skały
Mgłą się cieniują — słyszysz echa śpiewów?
— Patrz, jako szumem wieczornych powiewów
Drzewa pył dzienny z liści wydmuchały —

Zmierzch otulił widnokręg, w jego ciemnem łonie,
Iskierka ognia, tu owdzie migoce —
Rąbek karminu za gwiazdkami płonie —
Słowik w zaroślach gdzieś kwili na łące,
Srebrzą się wody księżyca promieniem —
Kryją się kwiatki pod gałązek cieniem.

Przycichnął wicher w rozwalinach grodu —
Strudzony rolnik z pozbieranym kłosem
Pasterz — robotnik — żyjątka pod wrzosem —
Stworzenia boru — łąki — wód — ogrodu,
Wszystko; z modłą dziękczynienia —
Spieszy do snu, do wytchnienia...

Mędrzec — literat w chwilach ciszy nocy
Stwarzają dziwy dla serca i umu;
Biedak przed głodem lub bliźnim w pomocy
Pracuje nocą dla chciwego tłumu; —
— A sierota bez dachu? on zaśnie spokojem,
Jemu modły pokarmem — łzy będą napojem....

Drobne dziateczki padłszy na kolana
Rączki złożyły, w niebo oczka wznoszą,
Ojca wszechświatów modlitewką proszą: —
— A ich modlitwa czysta, nieskalana,
W gronie aniołów niepoliczonem
Wznosi się przed Pana tronem.

Módl się dzieweczko — módl za tę najwięcej
Co tkliwe serce, ból jej dręczy skrycie,
Co przy kołysce twojej niemowlęcej
Trawiła noce — co dając ci życie
Duszę twą z nieba wyniosła na ziemię,
A dziś udręczeń ciężkie dźwiga brzemię.

Żyj dla twych bliźnich — w słodyczy, szczodrocie,
Czysta jak anioł — niech czoło pogodne
Nie zbrudzi troska, nadzieje zawodne;
Nie szemrz na losy — i służ Bogu w cnocie,
Módl się i za mnie — ja więcej niż matka
Łaknę twych modłów — do życia ostatka.

Niechaj cię widma nie kuszą jaskrawe
Władzy, majątku, sztuki, uwielbienia,
To szał i nicość: gra bez powodzenia,
Gdzie zyskasz hańbę — stawiając na sławę.
Z modłą o dziewczę! wznoś oczka do góry,
Tam dla tych czarów szukając odpory.

Módl się za wszystkich — co żyją na ziemi,
W znojach i pracy — w srogiem udręczeniu,
Módl się o dziecię! módl się i za tymi,
Co w samolubstwie, dumie, w zaślepieniu
Zbytków, rozkoszy, wychylają czary.
Za gnębicielów módl się też ofiary!

Módl się i za tych, których białe kości
Zaległy liczne po świecie mogiły,
Jak nieme świadki — zamarłej przeszłości,
Przyciśnij usta do tej świętej ziemi,
Którą do głębi krwią i łzy gorzkiemi,
Prochami Ojców — wieki uświęciły!...

Jan M.

Korespondencya TOMASZA ZANA.

XXVII.

DO PANI ŚWIĘTORZECKIEJ (TEŚCI.)

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus i Marya Najśw. Panna. — 1846. Czerwca 19.

Szwagier mój Matusewicz a także mój zastępca w zarządzie Kochaczyna opowie JW. pani dobrodziejce o tej nadzwyczajnej uprzejmości, z jaką pan Adolf Dobrowolski ustąpił w moje posiadanie majątek 125 dusz, zawierający około 60 włók ziemi, i co w tej sprawie wyda się mu być godne, jej szanownemu uczestnictwu i ciekawości. Ten ostatni ma z sobą wydane mi od p. Dobrowolskiego w sieńskim urzędzie prawo zaprzedażne i pełnomocnictwo do władania Kochaczynem, nim się przyzna urzędowe prawo. Do Matusewicza należeć ma staranie wybierania z gospodarstwa corocznie około 470 rubli sr. na opłatę banku do procentu przez 36 lat, po upływie których majątek do czysta z długu powinien być wyswobodzony, a także nadto z włości 252 rubli na opłatę podatku; na siebie zaś przyjąłem obowiązek z oszczędzenia dochodów mojej służby corocznie wnosić po 300, trzy pierwsze lata do Kochaczyna, na ustawienie i wzmocnienie siły roboczej, a ośm lat następnych dla pana Dobrowolskiego na wypłacenie 2500 rs. Tym sposobem w zamiarze zostawienia majątku dziedzicom serca i imienia mojego, poświęcam się na ubóstwo przez lat 12, gdyż w ciągu tego czasu, gdy Bóg życia przedłuży i przeznaczy mię pozostawać w dotychczasowych obowiązkach, na osobiste moje utrzymanie się w urzędzie wymagającym ustawicznej podróży i rozchodów, co miesiąc nie będę mógł wydatkować nadto więcej niż 40 rubli, licząc rozchody kancelaryi.

A tak sługa boży, carski rajca, oszmiański szlachcic, litewski obywatel, ziemi białoruskiej posiadacz i setki dusz władacz, pozostałem dziś ubożuchny bez domu, żywiołów i usługowania, sam sobie tylu wystarczyć stosunkom i obowiązkom powinny, w oczekiwaniu, aż jaśnie wielmożna pani dobr. te zamiany i układy nasze w przeźroczystości uczucia i rozwagi natchnione i poczęte przez Opatrzność, prowadzone i jej w szczerości zwierzone potwierdzi i pobłogosławi. Stawam teraz przed panią z równą czcią praw rodzicielskich jak i przed kilkoma laty, lecz uboższym, starszym, słabszym i trwożliwszym niżeli wtedy, jednak razem bardziej utwierdzony w wierze, nadziei, więcej doświadczony w miłości, mocniej zaufany w pobożności p. Brygidy najukochańszej mistrzy-

ni mojej, której modlitwom obowiązany jestem to uczucie zdrowia, tę szczęśliwość wzajemnej życzliwości, której wszędzie doznawam od jej przyjaciół i znajomych, a najbardziej to przekonanie, że wiek długi i powodzenie nasze zależy od mocy, z jaką żywim w umyśle swoim i sercu ufność w miłosierdziu i sprawiedliwości wszechmocnej Opatrzności i cześć ku rodzicom i starszeństwu. Dopóty się nie uważam rzeczywistym posiadaczem i władcą Kochaczyna, dopóki do tych obrzędów prawnych i zwyczajowych któreśmy odprawili przy jego objęciu z Dobrowolskim, nie przyłoży swego uczestnictwa i błogosławieństwa domniemana matka i pani moja Justyna Świętorzecka.

XXVIII.

DO PANA DEDERKI.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus i Marya Najświętsza Panna. — 1846. — Z Berezówki 9 września.

Oznajmując wielmożnemu panu, że uczuciom i postanowieniu panny Brygidy, jego szwagierki i przyjaciółki, względem uszczęśliwienia i uzacnienia osoby mojej pokornego sługi waszego w Oborku, szanowna i sprawiedliwa Justyna Świętorzecka matka, błogosławiła na wszystkiem, upraszam najuprzejmiej jego przewidzenia i pilności o wyjęcie od plebana lebiedniewskiego świadectwa urzędowego niezwłocznie dla mojej zaręczonej, że do zawarcia z nią ślubu żadnych niema przeszkód. Zresztą ksiądz Żaba da o tem najlepszą instrukcyą, o którym mamy nadzieję, że nietylko spowiedzią, pokutą i pokarmem niebieskim przygotuje dusze nasze do godnego wstąpienia w świętość sakramentu, ale też jego obrzęd ozdobi i pobłogosławi swoją obecnością, przemową, modlitwą. Zamiar jest, gdy Boska będzie w tem wola, aby ślub był wraz po bierzmowaniu panny młodej, a zatem stać się może, że będzie błogosławiony przez księdza biskupa Cywińskiego u Ostrej bramy lub w kaplicy św. Kazimierza.

XXIX.

DO . . . .

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus i Marya Najśw. Panna.—1846 — Kwietnia 12 z Witepska.

Nie opatrzyłem się, aż więcej pół roku ubiegło od dnia ostatniego mojego listu, w którym oznajmowałem o moich zaślubinach. Na obrączkach, których spodziewałem się od Perowskiego, miał być dla młodej napis: Co potrzeba wszystko Tomasz; dla młodego: Czego nie ma Brygida. Miasto baszkirskiego lub kirgizkiego złota, na żydowskiem wyryto w Wilnie, 1846 października 29 na obu obrączkach; ślub odprawił się po mszy o południu w Lebiedziewie, któremu towarzyszyło więcej 50 pojazdów. Z mojej strony byli: Szwykowscy z Bienicy, Rafał Slizień który mnie przywiózł z Wilna o swoim koszcie na dziewic wieczór, i w cukrowe i powinne mnie wspaniałości opatrzył, i brat Ignacy. Na moje zaprosiny ku końcowi wesela zbierali się z Nowogrodzkiego Otton Slizień i oboje Zawadzcy z Kroszyna, do których zaślubienia przed odjazdem moim na Białoruś należałem. Zewsząd mię uprzedziła życzliwość i gotowość do wszelkiego zobowiązania dobrodziejów, przyjaciół, współuczniów osobista w Wilnie, i listowna zkądinąd na wsi; że zaś występowałem w roli szczerego i zupełnego ubóstwa, nic więcej od nich przyswoić sobie nie życzyłem, prócz współuczucia pobożnego. Przecież Karol Chodkiewicz ofiarował mi 500 r. s., które zrazu zamierzyłem poświęcić na sprowadzenie wiedeńskiego fortepiana, a które użył wkrótce brat żony mojej Mieczysław Swiętorzecki, na zastąpienie wypłaty od niego należnej Dobrowolskiemu. Pieniądze te jeżeli mnie zostaną powrócone, obrócić powinienem na przekarm Kochaczyńskiej włości, która mię w ubiegłym roku tyleż kosztowała.

Obchodziłem się dotąd i teraz obchodzić się muszę carskim chlebem i Opatrznością. Pan Dobrowolski ze swej strony uwolnił mię od dopłatki należnej jemu z rzeczy tego majątku, zachowując sobie prawo do rękopismów, którebym uczynić chciał a osobliwie w przedmiocie pamiętników bycia życia osobistego. Wesele było liczne i śliczne w Malinowszczyźnie; znać było, że aniołowie osób zaproszonych nie pogardzili szczerości i czułości moich zaprosin i przedłużało się aż po dzień Zaduszny, ażby i duszeczkom nieobecnym cokolwiek się dostało ze słodyczy jego. Promienisty pogromca wszeteczników, omyty łzami żon, znalazł się nie w jednym nieprzewidzianym kłopocie, napuszoną głowę uroczyście skłonił pod świątobliwy pantofelek. — W trudności i zagadnienia nowego stanu dla mnie, wprowadzała nas pani Roża Bohdanowiczowa z Gieczewiczów, pani pełna przewybornej czułości i rozumu. Jej synowiec Kostuś Gieczewicz służył mi drużbą. Każda chwila tego czasu godna mojej pamięci, i jak tylko będę swobodny od zatrudnień służby, rad będę ją opisywać. Wraz po weselu udaliśmy się na nabożeństwo doroczne Matki Boskiej do Wilna, gdzie żona moja sprawowała sobie, co na pierwszy raz potrzebowała, a co osobliwsza, za pieniądze dane jej przez panią Elżbietę Sulistrowską, niegdyś Rogowską,

wielbicielkę brata mego Stefana, gdyż od matki bardzo skąpo jest opatrzoną.—Odwiedzaliśmy Adamowiczów, Odyńców, (Edward napisał Veni Creator) Moniuszkow, (Stanisław na ślub nasz ułożył muzykę) Ogińską, Chomińskich, Balińską, Śniadecką, Moraczyńskiego malarza, Zaleskiego i konającego biskupa. Nie było kiedy odwiedzić wszystkich kogo należało, zostało to do czasu swobodniejszego, gdy los nasz wyraźniej się ustali. Tymczasem sanna się uścielała, a przybyliśmy koczkaretą warszawską, która kosztowała mojej pani 550 r. s. z sumy jej przez babunię darowanej; reszty bilet 600 rubli, który posiada z tejże sumy, posłać musiała na wezwanie brata Mieczysława Dobrowolskiemu, na termin wypłaty jego długu. Cztery konie Rafał Ślizień mi w darze przysłał z uprzężą krakowską a budę pani Sulistrowska ofiarowała, z obietnicą czekania na opłatę 160 r., które się za nią należą. — Odwiedziliśmy w czas Bożego Narodzenia Nowogródek Ignacego, Dworzec Wereszczaków, Dołmatowszczyznę Wierzbowskich, Pałoneczkę Radziwiłłów, Bartniki Ślizieniów, Kroszyn Jurahów, Wolnę Rafała Śliźnia, Kul Brzozowskich, Slepiankę Mańkowiczów, Oborek Dederków, Bienicę Szwykowskich, Manujły Bohdanowiczów.— Na trzy Króle byliśmy w Leplu. — Na zapusty przyjmowaliśmy matkę w Kochaczynie. Parę tygodni przepędziliśmy w Witepsku, święto Zmartwychwstania w Janowie.—Zostawiwszy żonę w Kochaczynie, bieduję tu z lustracyą, która mi jedynem pozostała źródłem do utrzymania się.

XXX.

DO PANI REKTOROWEJ MALEWSKIEJ.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus i Marya Najśw. Panna.— 1848 r. marca 7 z Oborka, o milę od Mołodeczna.

Spieszę podzielić się ze czcigodną rodzicą i ukochanemi siostrami naszego przyjaciela Franciszka rozradowaniem, którem Bóg nas pobłogosławił. Brygida żona moja dnia 26 lutego obdarzyła mię synem, Kochaczyn dziedzicem, a moich łaskawców i dobrodziejów służką i przyjacielem zdrowym, dużym, ważkim i ładnym. Na chrzcie św. który się odprawił w dzień św. Kazimierza przez ks. dziekana z Wiszniewa, przyjął imiona Wiktoryna i Serafina, które z sobą w dzień urodzin przyniósł, i Tomasza które mu matka nadto przydać raczyła. Pod temi imionami razem ze swemi rodzicami poleca się dzisiaj waszej pobożności i miłości, w której przypomnijcie ich u Ostrej bramy. W kumach jego między innemi powinien był być śliczny Kostuś a mój ukochanek, z obowiązkiem odmawiania porannych i wieczornych paciorków za chrzestnego syna, nimby się ich sam nie nauczył. Trzymali go zaś do chrztu proboszcze: ksiądz Żaba z Olesią Sulistrowską, ksiądz Markiewicz ze Stasią Dederkówną. Matka acz jeszcze słaba i nie wytrzeźwiła się ze zwykłej dolegliwości tej sprawy, przecież ma się nieźle; otacza ją tu troskliwość ukochanej siostry Wandy Dederko; rodzica jej i łaskawa nasza sąsiadka p. Sulistrowska od czasu do czasu ją nawiedza. Ufni w miłosierdziu Opatrzności, spodziewamy się rychłego jej wyzdrowienia. Sama dziecię karmi, które już umie kichać i pokrzykiwać po swojemu Listek ten oddać ma nasz dworzanin Jan, który mógłby nam za powrotem przywieźć nań odezwę. Chcemy wiedzieć o ich byciu życiu, zdrowiu i innem powodzeniu, którego jak najpomyślniejszego zawsze serdecznie życzymy i u Boga prosim. My zdaje się na dłużej pozostaniemy u siostry Wandy w Oborku, gdzie mamy spokojność, kochające otoczenie i kościół na dziedzińcu. Czas mój poświęcam częścią dla jej trojga dziatek a częścią na pamiętniki dla Dobrowolskiego, które ma przyjąć za dopłatkę należącą się mu za dusze kochaczyńskie. Z Kochaczyna bez pomocy teści bogatej nic mieć nie mogliśmy; ale ona nie zdaje się wcale troszczyć o wczesnem i należytem nas wspomożeniu, zwłaszcza, że posag należący się Brygidzie obróciła na poprawienie interesów pana Mieczysława syna swego, dla którego kupiła powtórnie na Białorusi majątki znaczne Janów i Konstantów, ale także jak Kochaczyn nie rychło zdolne dawać dochód.

XXXI.

DO * * *

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus i Marya Najśw. Panna. — 23 maja 1849 roku z Nowogródka.

Onegdaj tu sam jeden przybywszy bez syna i żony, pocieszony byłem z listu twojego, który mnie czekał. Zamiary moje mające na celu Wołyń i Ukrainę uiścić się na ten rok nie mogą. Układ o wypłatę posagu Brygidzie został odmieniony na obietnicę w kilka dni po podpisaniu, po której odebranie matka z synem Mieczysławem rozkazała nam była stawić się do Mińska na kontrakta czerwcowe, dla których jużby się musiał spóźnić przedsiębrany nasz wyjazd. Tymczasem zbliżyłby się czas rozwiązania Brygidy, o czem w przeszłym liście zaniechałem był ci donieść zajęty kierunkami i nadziejami wędrówki nowej i

odmian, mających nastąpić w byciu i życiu naszem. Teraz obmyślamy, bo nie wiemy jak się obrócim po mińskich kontraktach, gdzie jej Bóg opatrzy odbycie połogu. Mieczysław znowu się w postanowieniu chwieje i pracuje nad tem, jakby się wyłuszczyć chytrze, mądrze i z tej obietnicy wypłaty należności siostrze, od której dalsze nasze przedsięwzięcia niezbędnie zależeć jeszcze muszą. W ostatniej swojej listownej odezwie oświadcza, że inaczej nie wyda jej z matką owego posagu, aż po otrzymaniu ze strony naszej zrzeczenia się praw wszelkich sprawiedliwych do funduszu ojcowskiego; a gdyśmy dali uręczenie, że gotowi jesteśmy uczynić wszystko co prawo wymaga i pozwala a sprawiedliwość i rozsądek nakazują, dano nam wiedzieć, że już teścia do Mińska nie pojedzie, tylko syn jej bierze majątki w dziedzictwo i zarząd, z których siostrom po zejściu matki ma wypłacić należność posagu.

Z tych co rok, co miesiąc, co tydzień i co dzień omylanych przyrzeczeń i nadziei przytulenia gdzie korabiu losów swoich do brzegu i dna ufundowanej już fortuny, kiedyż tedyż tę wielką powzięliśmy naukę, że wszelkie nadzieje oprócz w boskiej Opatrzności są płonne i ujemne, że znowu jak przed mojem ożenieniem się, za które chwałę i dzięki codziennie dawam Bogu, potrzeba mi powrócić do godła:

„Ręko moja, kto w Bogu dufa a pracuje,
Do ostatniej starości nędzy nie uczuje,“ —

i znowu dawnym torem szczęśliwie bieżeć ze swojemi. Ale naprzód trzeba mi podleczyć zdrowie, dla którego oto już przez dwie zimy nie byłem w stanie opuszczać izby. Zaledwiem dla porady tu przybył, wraz mi upuszczono krwi z nogi, postawiono pijawki, rozkazano pić sok podróżnika z syrowatką dni 21, po upłynieniu których jechać do Druskiennik kąpieli i być tam najmniej do połowy sierpnia, jeźli chcę się oczyścić z liszaju, który od głowy i uszu posuwa się zuchwale do oczu najwięcej spracowanych. Przyjdzie tedy żonę z Wiktorynem i nowo spodziewanym pozostawić w Oborku u kochanej jej siostry Wandy, gdzie się nam dotąd powodziło, jak nie można lepiej i stósowniej. Wiktor w przeszłym miesiącu niezmiernej dał nam doświadczyć boleści, zapadłszy nagle w słabość w skutek wyrzynania się zębów trzonowych i kłów. — Cudem św. Rocha, któremu sprawujemy szatę kosztem przeznaczonym na doktora, który nie mógł przyjechać, powrócony nam znowu wielki miłośnik przyrodzenia i sztuki: naśladuje głosy zwierząt i ptasząt szeptanie i śpiewy. Wielki mój przyjaciel, zastępca wasz i waszych ukochanych dziatek, które całuję i błogosławię.

Z zapisków J. R.

młodego Krakowianina, ustępy o wojnie włoskiej 1859 r. niewoli we Francyi, i legionie cudzoziemskim w Algierze.

(Ciąg dalszy).

Sidi bel-Abbès 14 marca 1862 r.

Mój pobyt w Bordj ben-Arèridj nie był tak długim jak się tego obawiałem. Nietylko, że już dnia 19 stycznia opuściłem tamte strony, ale nadto ciągle wojażując, opuściłem zupełnie prowincyą Konstantyny i stanąłem 10 marca w Sidi bel-Abbès w prowincyi Oranu. Przyczyną tej długiej i w tej porze roku bardzo niedogodnej podróży, był dekret ministra wojny, w skutek którego 2 pułki piechoty zniesionè zostały. Nieszczęście chciało, że mój pułk był w ich liczbie. Ludzi rozpuszczono a oficerów umieszczono w innych korpusach. Mnie los przeznaczył do pułku stojącego w prowincyi Oranu, dokąd udać się niezwłocznie byłem obowiązany.

Ta redukcya armii jest dziełem pana Fould, o którego wstąpieniu do ministeryum finansów i wielkich przez niego przedsięwziętych reformach, każdemu wiadomo. Armia nadzwyczaj jest niezadowolniona, gdyż to tamuje awans. W moim pułku 4ch oficerów padło ofiarą nowego systemu; między nimi znany wam Burchard mój przyjaciel, o którym już podczas ekspedycyi w Kabylii pisałem. Odesłano ich z armii jako oficerów cudzoziemskich, pod pozorem złej konduity.

Bliższe szczegóły mojej podróży nie bardzo są zajmujące, chyba, że wiele mnie pieniędzy kosztowała; bo tu w Afryce oficerowie są obowiązani wojażować własnym kosztem.

Opuściwszy Bordj, szybko przebiegłem Setif, Konstantynę aż do Philippeville, znane mi już okolice. W Philippeville pułk został skoncentrowany. Tu 26 lutego odbyła się uroczystość rozwiązania pułku. Dnia 28 lutego odpłynąłem na statku parowym *Nerval* do Algieru, gdzie zabawiwszy dwa dni, wsiadłem na okręt *le Phare*, który mnie wysadził 6go w Oranie. 8 marca odmaszerowałem z oddziałem idącym ze mną, a 10 byłem w Sidi bel-Abbès. Nic więcej jak 88 lieus piechotą a 173 lieus morzem.

Algier dosyć mnie zajął. Trafiłem tu na ostatki, na prawdziwy karnawał wenecki; wszystko poprzebierane, szalejące, tańczące po ulicach i placach.

Algier jest wielkiem miastem i portem, równającym się Marsylii albo Tryjestowi; mały Paryż, gdzie wszystko za pieniądzmi goni.

Odzwyczajony już od zgiełku i ruchu wielkich miast, przebiegałem z rozkoszą spacery publiczne i zwiedzałem osobliwości. Jednak mieszkać-

bym tu nie chciał. Dlategoteż bez żalu opuściłem stolicę Afryki francuzkiej, która przed 30tu laty jeszcze małą mieściną Maurów, gniazdem korsarzy była. Dziś fortyfikacye najeżone działami, bronią przystępu do portu, proste i długie, rzęsisto gazem oświecone ulice i bulwary, zastąpiły krzywe i wązkie uliczki, a kilka wysmukłych minaretów z podziwieniem spoglądają na ośmio-piętrowe kamienice i ogromne zabudowania europejskie. Ponad miastem wznosi się przedmieście Maurów, którego białe i płazkie bez okien w amfiteatr ustawione domki nad niemi dominuje Kasbah cytadella, której Francuzi nigdy szturmem wziąść nie umieli, i gdzie się był schronił Abd-el-Kader ze swoimi, po upadku Algieru, broniąc praw i wiary proroka.

Oran, dawna posiadłość Hiszpanów, jak o tem świadczą ruiny olbrzymich fortyfikacyj z napisami, jest zamieszkanem prawie wyłącznie przez emigrantów hiszpańskich; — nieznośny, jako rezydencya z powodu swych ulic, które nie są czem innem jak mnóstwem schodów i drabin, po których do góry i na dół chodzić potrzeba. W całem mieście dwie tylko znajdują się ulice, gdzie koń i powóz przejść mogą — gdzieindziej osłów używają, które ładnie po schodach łażą.

W Sidi bel-Abbès poznałem niejakiego Kozłowskiego kapitana w moim pułku, który jest rodem z Krakowa. Stary, bo już 56 lat mający ucieszył się i uściskał mnie gdy się dowiedział, żeśmy oba z jednego polskiego gniazda. — Ma on żonę i jednę córkę — stracił 3ch synów, był w rewolucyi Warszawskiej, potem w Afryce, w Hiszpanii, wrócił do Afryki, poszedł do Krymu, do Włoch, do Marocco, jest ozdobiony krzyżem legii honorowej.

System redukcyi armii we Francyi wiele mnie o moją przyszłość niepokoi; — bo jeżeli jeszcze zmniejszą armię, to łatwoby być mogło, że nasz pułk padłby znowu ofiarą. Dlategoteż zamyślam podać się do naturalizowania, gdyż bez tej formalności nie mógłbym służyć w pułku francuzkim.

Prawda, że trudy żołnierza w Afryce nie mogą się równać z tem, co u nas w Europie trudami nazywają— ale człowiek do wszystkiego się przyzwyczai. W Afryce żołnierz ma także swoje przyjemności; są one proste, ale najdrobniejsza z nich złotemby tu mogła być opłaconą, naprzykład: będąc na marszu w pustyni: gorące powiewy wiatru tamują oddech, pyłki piasku zasypują oczy, usta, uszy i nozdrza,— skwarne słońce pot wszystkiemi porami wyciska: już od kilku godzin kolumna ciągnie w milczeniu; nie jeden upada pod ciężarem bagażów; inny wyczerpawszy ostatek sił fizycznych i moralnych, samobójstwem koniec nędznemu życiu położyć zamyśla. — Nie jeden oddałby wszystko co posiada za kroplę świeżej wody, ażeby wargi spalone na chwilę tylko zwilżyć; darmo! znikąd pomocy! ogniem płonące niebo, zdaje się być nieczułem — a ludzie, ci znękani mozołem, stali się egoistami.

Wtem — trąbka awangardy przeciągłym tonem w powietrzu dzwoni. Ten sygnał życiem serca przepełnia. Głośne hurra! — pełne energii „en avant!“ są mu odpowiedzią, bo to znak, że przednia straż na wodę trafiła. — Jeszcze chwilka — zdala widać już kilka zielonych i bujnych roślin, krzewów a czasem drzew; nareszcie stój!— broń w kozły! i każdy jak może z kociołkiem po wodę leci. Woda przywraca im siły, naprawia humor, tak, że kilkaset tych ludzi co przed chwilą jeszcze umierali z pragnienia, złorzecząc niebu i światu, teraz — obsiadłszy w koło ogniska z suchej trawy i ostów, na których gotują czarną kawę z sucharem — i zanuciwszy chór obozowy, albo pośpiewując każdy swoję dumkę o ojczyźnie lubej! są szczęśliwemi!

Nieraz spostrzegłem u największych sceptyków i bezbożników, a i samemu mi się zdarzało, że na widok źródła zimnej i przeźroczystej wody w pustyni, myśl mimowolnie ku Bogu się wznosiła, a usta z powagą o wielkości Stwórcy rozprawiały. Źródło wody w stepach Afryki, jest dla żołnierza francuzkiego, źródłem prawdziwego szczęścia i niewysławionej rozkoszy!..

Cóż poetyczniejszego w młodym wieku nad obóz, gdzie się żyje pod namiotem, snując wspomnienia—w tym kraju zaczarowanym na wiosnę, gdzie po skwarnem słońcu, oddychając letniem powietrzem nocy, w obec gwiazd rozsypanych na błękitnem tle nieba, marzyć i zamki w powietrzu budować można. Step, albo raczej noc w stepie afrykańskim, ma coś mistycznego—tajemniczego. Jej ciszę przerywa tylko chyba szum gwiazd w ich biegu, lub spadających meteorów.

Prawda, że nieraz tak marząc wśród nocy, zdaje mi się, że jestem już z powrotem w mej ojczyźnie u familii, to znów że zawiesiwszy oręż na ścianie, poetyzuję w cichym zakątku, ożywiony przytomnością istoty, której imie jest mi nieznane — i choć zawsze z żalem z tych się snów przebudzam, ażeby wrócić do trudnej rzeczywistości afrykańskiej, to przecież filozofuję, że prędzej lub później wszystko to przyjdzie — przyjść musi — a tymczasem w nadziei przyszłego szczęścia, jestem dość z mego zawodu zadowolonym.

Co się tyczy mego zdrowia, jest ono zawsze wyśmienitem. Raz tylko podczas ekspedycyi dostałem febry; ale ja znam środek imponowania mojej naturze otóż znając skutki tutejszej febry, powiedziałem sobie, że wyzdrowieć muszę i to na dobre— i w rzeczy samej po trzech paroxyzmach już wyzdrowiałem— pomimo że byłem w obozie.

Jednem słowem, jestem do tego klimatu przyzwyczajony. Obserwowałem ja Arabów i zupełnie ich naśladuję.

Mają oni to doświadczenie, że przy nadzwyczaj nagłych zmianach temperatury w tym kraju, latem i zimą, we dnie i w nocy, podczas gorąca i zimna — jedno i to samo ubranie zawsze nosić potrzeba.— Straszną chorobą jest tu dyarya i cholera. Ale przeciw pierwszej nosimy długi ciepły pas wełniany na żołądku, bez którego nigdy się w pole nie wychodzi; — a przeciw cholerze mamy czarną kawę, której ogromną porcyą co rano przed marszem, mustrą a nawet i wieczór, gdy tenże bardzo jest chłodnym, pijemy.

Daya 19 kwietnia 1862.

Przed wyjściem do Daya zrobiłem kilka wizyt u pani Kozłowskiej, żony owego kapitana, o którym już pisałem, i byłem nawet zaproszony na obiad, na którym byli tylko sami wyżsi oficerowie. Jest ona córką pułkownika a dziś jenerała Molinat, nie młoda już, jednak bardzo żywa i wesoła. Była ona w Gallipoli w Turcyi, towarzysząc mężowi w wojnie Krymskiej, jakoteż we Włoszech.—U francuzek można to spostrzedz, że lubią dzielić z mężami trudy wojny, nie mogąc brać udziału w ich chwale. — Oboje bardzo mi wiele względów okazali. Mają oni córeczkę którą nazywają Pola, to jest Polka przez skrócenie. Tu grałem na fortepianie, ale bardzo mi to już wyszło z użycia — i trzebaby mi kilka miesięcy pracy, aby dawną biegłość odzyskać.

W moim pułku bardzo jest dużo polaków — w kompanii mam ich kilku. To też często, gdy wieczorem przechodzę się po murach fortecy, po zamknięciu jej bram,— odgłos i nuta polskiej mowy i dumki odbija się o moje uszy — a wtedy — o!— nie potrzeba mi słów, aby opisać to, co się we wnętrzu mego serca dzieje — bo łatwo każden odgadnie to sam.

Co za kontrast! — Daya, w pośród lasów na szczytach poszarpanego w dzikie kontury Atlasu— i polska dumka!....

Nikt nie może mieć wyobrażenia o tem, czem jest Daya?..

Na szczytach Atlasu, w pośrodku stuletnich lasów, dębów korkowych, jałowców tak wysokich, jak u nas świerki, cedrów, cyprysów i innych gatunków drzew, które pokrywają jego boki, rozścielają się zeilone bujne łąki. Na jednej z nich stoi Daya, to jest forteca zbudowana przez Francuzów. Jest to reduta z bastyonami, mieszcząca koszary, szpital, magazyny, pawilon oficerski, — 3ch albo 4ch handlarzy,... i nic więcej!! Służy ona jako posterunek, przednia straż armii w tej prowincyi broni przejścia przez góry. Kilka szczytów dość wzniosłych przedstawiają wązki horyzont; na jednym z nich znajduje się strażnica, której celem jest czuwać nad okolicą i alarmować fortecę w przypadku powstania. Tu można objąć okiem na 20 lieus w około w góry i w pustynie. Zresztą natura dzika, poszarpana kataklizmami, bez wdzięku, prawdziwa pustelnia! Co wieczór w fortecy zamykają bramę, i szyldwachów rozstawiają po murach; jednem słowem, załoga musi być czujną i baczną, bo o kilka lieus ztąd, znajduje się wąwóz i wioska Kabylów, nazwana Sidi Ibrahim, gdzie w roku 1845 Kabyle otoczyli cały batalion strzelców, i po trzech-dniowym boju wszystko w pień wycięli; jeden tylko podoficer i 3ch żołnierzy zdołali się uratować z całego batalionu!

Wysokość punktu na którym stoi Daya, czyni, że 5 kwietnia śnieg tu zastaliśmy, gdy tymczasem w Sidi bel-Abbès fijołki od 2ch miesięcy przekwitły; dziś nawet pomimo pięknej pogody, kominek na którym płonie ogień podsycany drzewem cedrowem a nawet cyprysowem, nie jest do wzgardzenia. Powietrze gór nadzwyczaj zdrowe i czyste, przepełnione aromem drzew iglastych. Poetyczne przechadzki w górach są jednak niebezpieczne, gdyż od czasu do czasu samotni wędrowcy giną tu bez śladu. Francuzi przypuszczają, że to Arabowie; Arabowie zaś mówią, że to dzikie zwierzęta są tego przyczyną. W rzeczy samej, przed dwoma miesiącami zabito tu ogromną panterę, której futro widziałem sam u tego co ją zabił. Przeszłego roku znaleziono w lesie mundur potargany, głowę i kości żołnierza, którego już od 5 dni za dezertera poczytano, a przed dwoma laty pewien oficer złapał, będąc na polowaniu małego lwiaka, którego do fortecy przyniósł. Lwica idąc za węchem, przez dni kilka włóczyła się około fortecy i rycząc groźnie, trzymała w oblężeniu jej mieszkańców, dopóki jej samej nie zastrzelono. Oficer tymczasem wychował lwa, razem z małym pieskiem, z którym on tak się zaprzyjaźnił, że ich ani na chwilę rozłączyć nie można było; i gdy go później posłano w prezencie marszałkowi Pelissier do Algieru, lew zdechł z tęsknoty za swym małym przyjacielem.

Pomimo nudów, na jakich nie zbywa nigdy w takich garnizonach jak Daya, czas mi dość prędko schodzi. Jestem bowiem intendentem załogi to jest: mam na mej głowie całą jej administracyę. Wolny czas przepędzam na łąkach i w lasach; jak mam dużo do czynienia, to zostawiam mego sekretarza w biórze; a gdy przypadkiem mamy bardzo mało do roboty, to zamykamy bióro na klucz i oba się wynosimy; on do markietanki, a ja z moim kapitanem na polowanie albo na grzyby, na arbuzy, albo na zioła, z których przyrządzamy sałatę na kolacyę.— Arbuzy są to

jagody rosnące na krzakach nazwanych Arbusier, są one tak wielkie jak truskawki, tego samego koloru i smaku. Jémy je z cukrem w winie czerwonem. Na naszym stole mamy prawie co drugi dzień pieczeń z dzika i gazelli, tak te zwierzęta są tu liczne. Najpiękniejszy dzik kosztuje 5 franków gdy go kupić potrzeba, zazwyczaj sami go upolujemy. Szynka strusiowa, którą nam Arabowie z pustyni czasem donoszą, jest doskonała; trochę żylasta, jednak smaczna; a jedno jajeczko strusia wystarcza nam dla 6ciu osób.

Co się tyczy mego kapitana, jestto wyśmienity chłopak, młody jeszcze, bo 36 lat mający, szczebiotliwy jak każdy Francuz, troszkę się jąka, a jednak nigdy pół godziny nie milczy, — przytem wesoły jak dziecko; jak się dowiedział, żem rodak kapitana Kozłowskiego, bardzo mnie polubił i zawsze mi się pyta, kiedy pójdziemy wszyscy razem do Polski?.. Urządza on teatr w Daya, na który zaprosimy kilka dam ze Sidi bel-Abbès. Naturalnie artyści będą nasi żołnierze, a mnie mianował dyrektorem orkiestry; istna muzyka janczarów, której dyrekcyą ja znowu powierzyłem pewnemu artyście, pijakowi, żołnierzowi w mojej kompanii.— Oprócz mego kapitana jest tu jeszcze 3ch innych oficerów.

(D. c. n.)

RÓŻNE RZECZY.

[Rzepecki]

(spóźnione) **Częstochowa.**

Dwa śluby.— Nieraz pytałem siebie, czemu miejsca cudowne podnoszą tak w oczach naszych majestat Boży; czemu z dziecinną wiarą wierzymy, że tam więcej Boga niż gdzieindziej, że tam prędzej wysłucha próśb naszych; kiedy wiara uczy nas, że Bóg jest na każdem miejscu? — Nie umiałbym na to pytanie zupełnie odpowiedzieć, a przynajmniej nie za wszystkich. Co do mnie zdaje mi się, że w miejscach, gdzie miliony ludu klęczało, płakało i modliło się, gdzie tyle jęków, cierpienia i modłów dziękczynnych się działo, ze tam wiara człowieka potężnieje i wiara ta cuda nam tworzy. To też nie dziwiło mnie całkiem, gdy ktoś w Częstochowie raczej modlić się chciał niż gdzieindziej, gdy kto o sto mil przyjeżdżał uklęknąć przed obrazem Matki Boskiej, i tam się wyspowiadać, gdy ślubne pary zdaleka przyjeżdżały po błogosławieństwo królowej Polski. Owszem rad byłem z duszy zobaczyć ślubną parę w tej ciemnej, cudownej kaplicy, czytać na twarzy nowożeńców głębokie wrażenie w tej chwili, które się pewnie w całe ich życie niezatarcie wpisze. To też pospiesznie szedłem na Jasną górę dowiedziawszy się, że tam o 7ej ma się odbyć ślub. Narzeczeni byli z dość ładnej familii— panna z Krakowskiego, on z okolic Piotrkowa.—Stanąłem blizko ołtarza. Po godzinnem oczekiwaniu przyszli goście weselni.—Panna młoda dość śmiało stanęła przed ołtarzem i obracając się do jednego z drużbów spytała: i cóż ja teraz mam robić?— Narzeczona więc, u wrót nowego życia, u stóp obrazu, przed którym królowie w proch się korzyli — nie wiedziała, co ma robić. Usposobienie reszty gości weselnych harmoniowało całkiem z panną młodą. — Odwróciłem się bez cześci dla tych ludzi. Więc z najświętszych rzeczy świat wyższy umie zrobić modę? Do tego dodać muszę, że panie były dość jasno ubrane a mężczyźni we frakach, kilku mniej odważnych zasłoniło fraki zarzutkami przed okiem publiczności. Boleśnie mi było patrzeć, że tu, gdzie wdowiego płaczu tyle widziano, gdzie z całej Polski niewiasty w grubej żałobie się modlą, że w tem miejscu ludzie z polskiem imieniem, strojem i francuzką mową urągali ze wszystkiego co nam święte.—Przypuśćmy, że zarzucenie fraków, że żałoba— to niewłaściwy sposób okazywania niechęci i smutku — przypuśćmy, że poświęcenie kilku lub kilkudziesięciu ludzi niewarto tej ofiary: ale kiedy cały naród obrał tę a nie inną drogę do objawiania swych uczuć; więc ten, kto z tego drwi, drwi z narodu, pluje w samo serce narodu. Jak nazwać takich ludzi? nie wiem. Zbrodniarzami nie są, wolę ich więc nazwać półgłówkami.

Jeżeli ten ślub rozczarował mnie z ładnego oczekiwania, to drugi pogodził mnie trochę z ludźmi. Był ślub urzędnika jakiegoś. Spodziewałem się więc sztywnych min, galonów itd., tymczasem w kaplicy skromnie oświetlonej zastałem gości weselnych prawie żałobnie ubranych. Drużbowie w czamarkach, drużki w białych kontuszach szerokiemi czarnemi taśmami wyszytych, w czarnych ubraniach na głowie; reszta osób czarno ubrana.— Dziwnie piękne choć bolesne robił wrażenie ten ślub. Z ubioru już znać było, że ludzie, którzy się pobierają, nie mają pełności szczęścia i wesela, że jest jakiś inny smutek, co im bawić się nie pozwala — i przyszli żałobnie ubrani do Maryi poskarżyć się czarnym kolorem i uprosić przemianę.—Do tego ksiądz mówił młodej parze o obowiązkach rodziców, obywateli-polaków.—A dodać tu muszę, że to był ślub wcale niezamożnych ludzi.— I cóż ztąd? Oto prosty wynik, że narodowość i tradycye piękne powoli zstępują w stan mieszczański, odepchnięte przez tych, co je piastować powinni, że gdy jedna gałęź usycha, Bóg innej wyrastać każe, by drzewo nie upadło.

Konkurs.

Wielmożny Konstanty Zakrzewski złożył na ręce niżej podpisanego 300 złpols., jako nagrodę za napisanie najlepszej powieści dla katolickiej młodzieży, bądź miejskiej, bądź wiejskiej.

Powieść musi być oryginalną, na tle historyczno- lub obyczajowo-narodowem i objąć przynajmniej pięć arkuszy zwyczajnego druku.

Ocenienie jej powierzonem zostanie mężom o ile możności jak najbardziej znanym ze zdrowego sądu, oraz świadomym potrzeb duchowych naszej młodzieży.

Po wydrukowaniu otrzyma nadto autor, podług wyboru, albo 100 egzemplarzy dziełka, albo wartość pieniężną onychże; reszta dochodu przeznaczoną będzie na ogłoszenie nowego konkursu.

Ubiegający się, winni prace swe przesłać przed pierwszym marca 1863 r. Każda praca ma być opieczętowaną i opatrzoną takim samym znakiem, jakim i koperta do rękopismu dołączona, a zawierająca nazwisko pisarza.

Wywięzując się z tego nader miłego dla mnie polecenia, proszę wszystkie polskie dzienniki literackie, polityczne i przemysłowe, aby ogłoszenie niniejsze w kolumnach swoich ze dwa razy umieścić raczyły, a zarazem wzywam pisarzy, którym dobro młodzieży leży na sercu, aby prace swe jak najliczniej na ręce moje przesłać zechcieli.

W Poznaniu d. 15 listopada 1862.

Ludwik Rzepecki,
filoz. Dor, nauczyciel etatowy przy szkole realnej.

Pogrzeb ś. p. Marcina pułkownika Tarnowskiego, miał tu miejsce w dniu 24 listopada. Oto wyjątek opisu tego aktu z Dziennika *Czas:* „Dawno już miasto nasze niepa„mięta tak licznego i uroczystego pogrzebu jak dzisiejszy, „i niedziwota; albowiem odprowadzono na miejsce wiecz„nego spoczynku zwłoki żołnierza i obywatela, co przez „lat 70 na wszelkiem polu życia służył zaszczytnie Ojczy„źnie, a dzieląc wiekowe prawie koleje nieszczęść krajo„wych i walk o jego pomyślność, nie zwątpił nigdy o „sprawie narodowej, i do ostatniej chwili życia poświęcić „się za nią był gotów. Tysiące mieszkańców Krakowa, „obywatele z okolic, pospieszyli oddać ostatnią posługę „ś. p. pułkownikowi Marcinowi Tarnowskiemu, a rzec mo„żemy, że na pogrzebie jego przedstawione były wszyst„kie prawie prowincye rozległego kraju naszego.“

Na kilka dni przed śmiercią, pułkownik, którego główną chorobą okazała się starość, bo liczył 88 lat żywota, czując się słabszym, kazał prosić księdza i oraz oznajmił życzenie pożegnania znajdujących się w Krakowie kolegów wojskowych, dla których gościnne podwoje jego co dzień stały otworem. Gdy wezwani zgromadzili się na prędce w pokoju chorego, pożegnał ich krótkiem a rzewnem przemówieniem, tchnącem zawsze i w tej przedostatniej chwili spokojem duszy prawej i gorącem dla kraju uczuciem. Po zgaśnięciu jego, owi wierni koledzy, niektórzy już poważni weterani, we spół z młodzieżą akademicką pełnili za koleją służbę przy katafalu z miłością prawdziwie wojskową, a nazajutrz ponieśli trumnę na barkach własnych przez rynek do koła, do kościoła Maryackiego — która to świątynia mimo swej obszerności, zaledwo była w stanie pomieścić część pobożnych tłumów, a reszta przed kościołem słuchając nabożeństwa, czekała na kondukt.

W kościele ksiądz biskup Łętowski, niegdyś towarzysz broni nieboszczyka, miał krótką mowę przy katafalu, w której mocą wspomnień poruszył serca ziomków, a wreszcie takim zakończył ją ustępem: „Co do tych słów parę nie „dostaje, szanowni obywatele Wołynia Podola i Ukrainy, „co zbiegliście się za tym człowiekiem do nas, szukajcie „po Waszych sercach, a znajdziecie — a mnie wybaczcie „to przymówienie się. Dziś sługą ołtarza, byłem pół wie„ku temu z górą towarzyszem mu broni, a mało nas już „jest, co trącaliśmy szablami o mury Kremlina, a jakby „na koniku Olgierdowym przebiegli od Niemna po brzegi „Oki. Na te wspomnienia uśmiechnął się starzec do mnie; „ale miała już z nim zgasnąć do piękna świeca dla nas „chwały naszej. Śmierć też takiego męża jest śmiercią na„rodową, gdyby narody umierały. Westchnijmy do nieba, „iżby miłosierdzie boskie przyjęło go do swej chwały.“

Podczas nabożeństwa ksiądz Oszacki wikaryusz od św. Floryana znany z swej ognistej wymowy, stawił za przykład obecnym, zasługi i cnoty zmarłego, ułożenie ich w szereg i podanie potomności, będzie obowiązkiem kreślącego dokładny życiorys tego męża—my zaś nie możemy odmówić sobie przyjemności podniesienia a raczej powtórzenia jednego ustępu czyli faktu z jego żywota, treściwie i żywo zeszkicowanego na razie w pięknej mowie pomienionego kaznodziei.... raz tylko w życiu swojem nieskażonem -u padł on na duchu, i zwątpił sam o sobie — lecz i tu najszlachetniejsze pobudki, słabości tej chwilowej, były źródłem — w roku 1825 więziony przez rząd moskiewski i oddany pod ścisłe śledztwo, obawiając się ażeby nie zachwiał się i nie zdradził swych towarzyszy, zamierzył odebrać sobie zycie— zamach ten jednak nie powiódł się całkowicie; — uleczono ciało, a duch okazał się silnym jak należało—nieszczęście zaś, którego się ś. p. Tarnowski lękał z swej strony, padło na innego towarzysza niedoli więziennej — człowiek ten małego serca, dla ocalenia siebie zdradził innych a pomiędzy tymi ś. p. Tarnowskiego.

Puszczony na wolność, wolałby był pozostać raczej na wieki w więzieniu lub na wygnaniu—bo z powrotem między swoich, cóż mogło go czekać jeżeli nie oburzenie i wzgarda ziomków?... wszyscy — rodzina własna stroniła od niego jak od wyklętego.— Wzgardzonemu przez swoich, odepchniętemu od społeczeństwa, któż z uczciwych ludzi byłby mu pozwolił dotknąć swej ręki?.. Otóż ś. p. Marcin Tarnowski wyszedłszy z więzienia, gdzie z powodu tego zbłąkanego brata najwięcej ucierpiał;— przekonawszy się, że nie p.zewrotność serca ale raczej poniżająca słabość ducha była mu do tej zbrodni powodem, pierwszy podał mu dłoń swoję — przyjął go w dom i przywrócił społeczeństwu tę zdeptaną istotę— a nawet zajął sie podobnoś i losem jego dalszym!

Cóż zatem dziwnego, że przy wpuszczaniu trumny do grobu całun poszarpano w drobne strzępki—bo któż z nas nie radby mieć pamiątki po takim człowieku?—po obrońcy Pragi w chwili rzezi, srogiej pamięci Suwarowa? po towarzyszu broni ubóstwionego Tadeusza Kościuszki?. . . Przeszłość i wielkość nasza to groby — teraźniejszość i święta narodowe, to krzyże i pogrzeby— a przyszłość? .. Ta w ręku Boga, i w sercach takich synów Ojczyzny, jak ten, którego ciało cotylko przed naszemi oczyma świeża zakryła mogiła! — a duch jego połową w niebie — a połową chociaż da Bóg, pozostanie na wzór z nami!


Korespondencya Wieńca.— Jeżeli panu J. M. zależy na tem, aby się dowiedzieć, dlaczego z nadesłanej nam przez niego poezyi „Anioł Pański“ 10 tylko umieściliśmy zwrotek, a i z tych parę z małą odmianą — niechaj potrudzi się do bióra Redakcyi, a nieomieszkamy objaśnić go w tej mierze.

☛ Do dzisiejszego Numeru dołączają się tablice haftów i krojów — oraz ryciny mód paryzkich kolorowane dla tych, co się na nie abonowali. Wytłumaczenie mód nastąpi w przyszłym Nrze.

GOCZAŁKOWSKA JULIA Redakt. odpowiedz. — Nakład Redakcyi.— Druk „Czasu“—Rząd. drukarni ANT. ROTHER.

WIENIEC. Listopad 1862.




Côté N° 2.
N° 7
N° 4
N° 5
N° 6
N° 8
Pièce repliée.